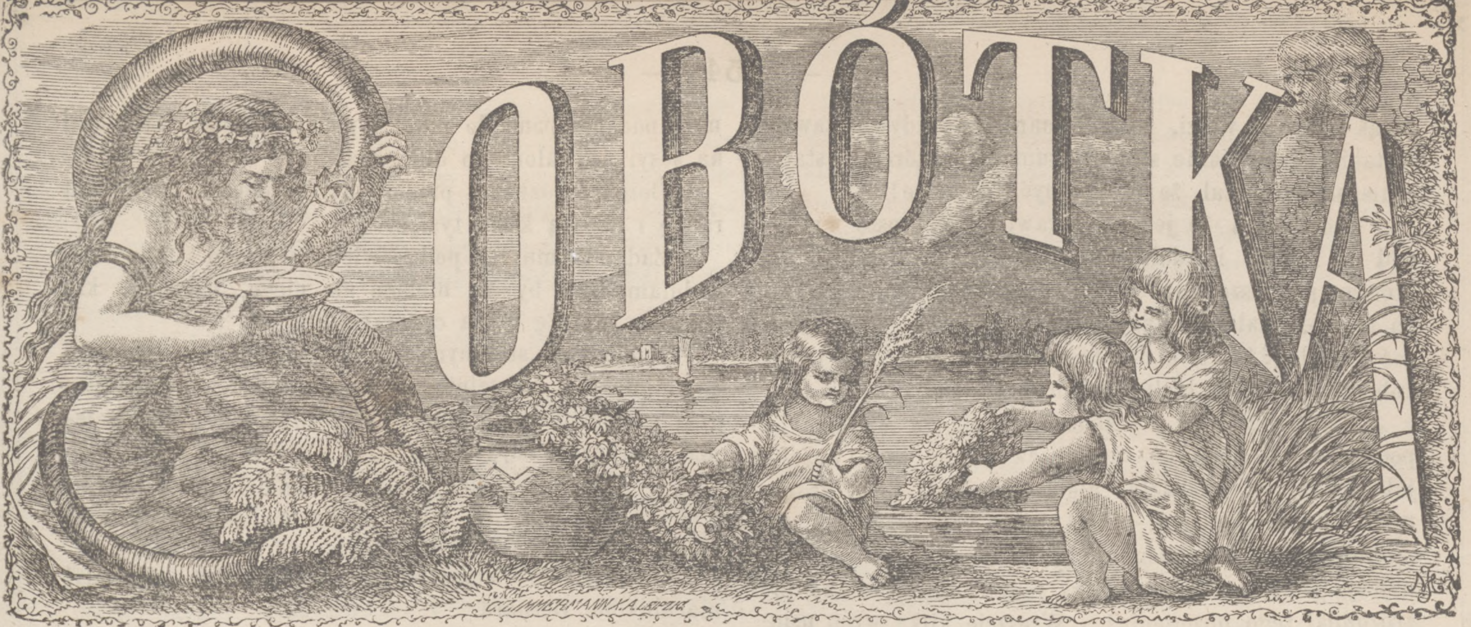


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№. 20. Poznań, dnia 14 maja 1870. Rok II.

Od Redakcyi.

W krótce rozpoczniemy druk nowéj powieści, osnutéj na małomiéjskich stosunkach Wielkopolski. Znajomość typów miéjscowych i artystyczne ich odmalowanie przez utalentowanego autora, pozwala nam twierdzić, że powieść z wielkiem zajęciem czytaną będzie.

Przy téj okoliczności nadmieniamy, że z dniem każdym siły literackie i artystyczne Sobótki zwiększają się. — Rok przeszło istnienia pozwolił nam liczbę współpracowników pomnożyć i pismo na utorowaną drogę wprowadzić. — Spodziewamy się że usiłowanie nasze uznanie w publiczności znajdzie i że ta poparcia swego jak dotąd tak i nadal nam nie odmówi.

Upraszamy wszelkie korespondencye i prace tyczące się Redakcyi przesyłać pod następującym adresem: Redakcya Sobótki w Poznaniu, w księgarni M. Leitgebra i Spółki.

Milion na poddaszu,

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dokończenie nastąpi.)

XXXIV.

Pierwszych kilka dni zapowiedzianego tygodnia egzercycyi nabożnych przeminęły bez żadnego ważniejszego wydarzenia dla Bernarda. Chwycił się oburącz pracy, aby przytłumić w sobie ból duszy, który go rozdzierał. Pracował za kilku, a gdy do swojéj samotnéj izdebki powrócił, obłożył się książkami, aby się czegoś nauczyć.

Tydzień egzercycyi nabożnych wydawał mu się bardzo naturalnym. Odpowiadał on zupełnie usposobieniu szambelanowéj, która przeszedłszy smutne doświadczenia życia, szukała w Bogu pociechy.

Czasami tylko przychodziły mu do głowy jakieś dziwne podejrzenia. Czy nie może być w tem wszystkiem jaka myśl ukryta, jakiś zamiar ze strony szambelanowéj, aby go na ten czas zdala trzymać od poddasza?

Może wreszcie zgodziła się na oddanie Tereni podczaszycowi, a w takim razie niechce, aby on jak cień złowieszczy wsuwał się między dwoje szczęśliwych ludzi?... Może ci ludzie mają tymczasem połączyć się węzłem nie rozdzielnym na zawsze, a jemu chce poczciwa szambelanowa przynajmniéj tyle ulżyć, aby o tem dopiero wtedy się dowiedział, gdy już wszystko będzie faktem niecofnionym!...

Przy tych myślach zrywał się zażwyczaj Bernard od biurka lub z łóżka i szybkiemi krokami chodził po izdebce. Serce biło mu w piersi gwałtownie, a często łzy obfite wypłynęły z oczu...

A ponieważ człowiek nieszczęśliwy, nigdy zupełnie w nieszczęście swoje wierzyć niechce, tylko zawsze gdzieś

jakąś nadzieję widzi, to i Bernard wynajdywał zawsze w takim razie jakie słabe argumenty, któremi ostatecznie się pocieszał, że to tak być nie może!

Podejrzenia te jednak sprawiły, że często wychodził na Leszno i zdala przypatrywał się domowi, na którego poddasze miał teraz wstęp wzbroniony. Patrzał na nieme, białe ściany, aby z ich martwéj fizyonomii coś odgadnąć!... Ale fizyonomia ta wapienna, jak twarz kobiety narzucona bielidłem nic nie mówiła!...

Bernard patrzał na znane mu dobrze okienka na poddaszu. Kilkanaście wróbli cwierkało tam wesoło, jakby o czémś wiedziały, ale Bernard nie mógł zrozumieć ich cwierkania!... Jakiś bury kot przesunął się zwolna samym brzegiem rynny, zaglądnął do okienka, najeżył sierść i mruknął kilka razy... ale Bernard nie zrozumiał tego mruczenia!... Wreszcie kilka wron usiadło na kominie i zaczęły krakać prześlicznie, ale coby to krakanie znaczyć miało, także Bernard nie wiedział...

Jedna rzecz tylko zaniepokoiła go mocno. Około południa ujrzał raz doróżkę, szczelnie zamkniętą, stojącą przed domem. Za chwilę wyszła z bramy sama szambelanowa, wsiadła do doróżki i gdzieś odjechała...

Co to mogło znaczyć? Gdzie mogła szambelanowa sama pojechać?... Wszak to był jéj tydzień dla egzercycyi nabożnych, w którym miała cały czas w domu pozostać? Mszy już o tym czasie w kościele nie było...

Piątego dnia wreszcie, gdy wyszedł na Leszno, obaczył pod domem stojących żydów z różnemi łachmanami na rękach. Jedni wchodzili do kamienicy, drudzy wychodzili. Mówili między sobą, spierali się i kłócili. Pokazywali na coś rękami i kijami i rzeczy trzęśli swoje tandetne!...

Jakkolwiek to wszystko może nie tyczyło się poddasza, jednak widok tych ludzi, którzy jak wrony kupią się zazwyczaj przy jakiemś nieszczęściu, aby z tego nieszczęścia skorzystać, sprawiło na Bernardzie jakieś dziwne wrażenie. Lękał jednak zbliżyć się i zapytać, i wytłómaczył sobie stado tych czarnych ptaków jak mógł najlepiéj dla swojéj zbolałéj duszy!...

. . . .

Nazajutrz przyszedł Bernard do biura blady i strasznie znękany. Usta miał spalone gorączką.

W nocy trapiły go jakieś sny okropne. Zdawało mu się, że widzi szambelanowę na marach śmiertelnych, z twarzą trupią lecz zachmurzoną i otwartemi oczyma!... Oczy te strasznie, strasznie na świat patrzyły!...

A gdy się bliżéj w tę twarz wpatrywał, poznawał powoli w téj twarzy drobne rysy Tereni... Z bolesnym uśmiechem leżała uśpiona, jak leży kwiat białéj róży, gdy go wiatr nielitościwy od gałązki oderwie...

Bernard zerwał się z łóżka cały drzący — był już dzień dobry. Ubrał się i wybiegł na Leszno, spojrzał z przestrachem na dom biały... ale przy tym domu nie widział zwykłych oznak śmierci...

W biurze powitał go naczelnik jakimś zagadkowym uśmiechem. Kazał mu usiąść w swoim pokoju i rozmawiał z nim bardzo łaskawie. Potem wydobył jakiś duży papier, a wręczając mu go rzekł do niego:

— Mości panie Bernardzie! Ostatniemi czasy byłeś pan tak pilnym, że postanowiłem przyśpieszyć wniosek mój, podania pana do rangi i pensyi wyższéj. Wczoraj na sesyi uchwalono to dla pana.

Bernard rozwinął papier, był to dekret na wyższą rangę i pensyą kilku tysięcy...

Zadrżały mu łzy pod powieką... Przed kilkoma tygodniami było by to niebem dla niego, dzisiaj... kto wie, czy mu się to na co przyda?...

Mimo tych smutnych myśli, podziękował Bernard naczelnikowi. Naczelnik niechcąc prawdopodobnie długich podziękowań ze strony uszczęśliwionego, jak mniemał, Bernarda, zapytał go od niechcenia:

— Pan mieszkałeś u staréj szambelanowéj na Lesznie... Czy jest co może z meblów starożytnych do nabycia?

— Z meblów starożytnych do nabycia? powtórzył machinalnie Bernard.

— Sądzę, że tam nie będzie coś arcykosztownego, jeźli dłużnik licytuje ją dzisiaj za tysiąc złotych?

— Dłużnik licytuje ją dzisiaj za tysiąc złotych?

Daléj już nie słuchał Bernard, tylko wypadł z biura jak szalony.

Po drodze wpadł do znanego mu lichwiarza.

— Słuchaj! zawołał drżącym głosem, to jest dekret na cztery tysiące złotych — daj tysiąc, dam go w zastaw!

Lichwiarz założył okulary, spojrzał na drżącego z niecierpliwości Bernarda, przeczytał dekret i rzekł:

— Z taką pożyczką zawsze bieda!... Tyle nie dam! Tysiąc to wiele!

— Daj tysiąc a podpiszę skrypt na dwa!

Lichwiarz dał się ubłagać. Za chwilę biegł Bernard z tysiącem złotych w kieszeni na poddasze.

XXXV.

Na poddaszu tymczasem dziwne działy się rzeczy. Podczaszyc jak dawniéj grał na cytrze przy świetle księżyca, a Terenia słuchała go całą duszą, snując sobie przytem jak najroskoszniejsze marzenia...

Aż tu jednego dnia zaczęły się pokoiki napełniać różnemi ludźmi dziwnych fizyonomii...

Przemijały między nimi starozakonni, handlarze starzyzną i tandetą.

Wszyscy ci wchodzili do pokojów w czapkach, opatrywali meble, pukali po stołach, macali zwierciadła...

— Cóż to jest takiego? zapytał podczaszyc szambelanowę, która z twarzą surową siedziała na krześle.

— Czy aspan nie widzisz? odpowiedziała krótko, jest to, co zwykle spotyka ludzi biednych — licytacya

— Licytacya! krzyknął podczaszyc i zbladł cały bo to słowo było grobem miliona...

Terenia załamała ręce, krzyknęła z boleści i zaczęła rzewnie płakać.

Płacz dziecię moje, płacz, mówiła spokojnie szambelanowa, może zasłużyłaś u Boga na te łzy!... Bóg nigdy na darmo nie wymaga łez od człowieka... tylko łzami radości wolno szafować człowiekowi, łzy boleści należą się Bogu, jako expiacya grzechów naszych!... Płacz dziecię, może Bóg nam przebaczy!...

Podczaszyc nie chciał dłużéj słuchać moralnego obroku... odszedł do swego pokoiku, aby rozmyśleć co tu robić. Groziło mu wielkie nieszczęście, stał się śmiesznym... Może to jeszcze wszystko nie prawda?

Wyszedł do sieni, zapytał jakiegoś piegowatego człowieka, który zdawał się mieć jakiś interes w téj licytacyi... I dowiedział się, że licytacya odbędzie się rzeczywiście, że tylko czekają na rejenta... że szambelanowa winna tysiąc złotych i nie ma czém zapłacić...

W téj chwili przecisnął się listowy i oddał podczaszycowi list opieczętowany.

List był z Paryża i adresowany do niego na poddaszu

Podczaszyc zadziwił się i prędko rozdarł pieczątkę.

W liście czytał:

— „Drogi przyjacielu! Za pożyczone dwieście dukatów winienem ci wdzięczność. Piszą mi z Warszawy, że wybrałeś się na romantyczną wyprawę, aby na poddaszu ułowić milion!... Otóż oznajmiam ci, że wiadomość, jakoby szambelanowa posiadała milion gotówką, była moim wymysłem, aby złośliwe dowcipy oddalić od siebie z powodu owéj nieszczęśliwéj marchwi! Pamiętaj więc, abyś się nie zgubił, bo tam prócz obroku moralnego, nie znajdziesz ani złamanego szeląga!... P. S. Zapomniałem donieść ci, że wziąłem w kościele św. Magdaleny w „chapelle de mariage“ ślub z pułkownikową... i tobie radzę coś podobnego zrobić, bo życie krótkie, czas uchodzi, a im późniéj, tem trudniéj o pieniądze... tout à vous: Podkomorzyc.“

Gdy podczaszyc ten list przeczytał zbladł cały i zatrząsł się, jakby miał febrę. List wypadł mu na ziemię.

Ale namysłu nie było... Obok płakała Terenia... w sieniach czekali żydki z łachmanami na rękach... Za godzinę mógł przyjąć rejent... Świat cały dowie się o jego nieszczęsnéj wyprawie po milion...

Podczaszyc wymknął się cicho z pokoiku i pędem do swego mieszkania na Nowy Świat pobiegł. Z tamtąd wysłał prędko służącego na Leszno po złotą miednicę, złoty kubek i inne drobiazgi kosztowne...

Szambelanowéj kazał powiedzieć, że ważne rzeczy zmuszają go do opuszczenia pokoiku...

Gdy służący z tem zleceniem do szambelanowéj przyszedł, zastał już tam urzędnika sądowego. Szambelanowa roześmiała się złośliwie i odpowiedziała służącemu, że tych rzeczy wydać nie może, bo na wszystko w domu położony jest areszt. Potrzeba więc, aby podczaszyc osobiście się stawił, i swoją własność w obec sądu reklamował.

Służący odszedł z tą smutną wiadomością do podczaszyca.

Podczaszyc zbladł znowu ze złości, że tak srogo prześladuje go dzisiaj gwiazda jego. Pozostawione na poddaszu rzeczy były kosztownym zbytkiem, obliczonym właśnie na efekt dla świata. Była tam część jego fortuny, któréj tak prędko nie mógł się wyrzec!...

Ale cóż począć w takim razie? Jakże tam stanąć w obec urzędnika sądu, w obec Tereni i Szambelanowéj i być świadkiem smutnego aktu egzekucyi sądowéj, dopełniającego się na ubogich?

Podczaszyc walczył niejaki czas, ale szlachetny kruszec przemógł...

Wszedł na poddasze z czołem zimnem, miedzianem i w obec urzędnika sądowego zareklamował pozostawione w pokoiku rzeczy.

Po długiéj rozprawie, przy któréj musiał opowiedzieć całą historyą swego wybryku artystycznego i zajęcia tego pokoiku, zezwolił wreszcie urzędnik na oddzielenie jego rzeczy pod warunkiem, że w sądzie zaprzysięże swoje tutejsze zeznania...

Podczasyc stał blady i zimny jak posąg... W koło niego odbywała się licytacya... Szambelanowa z najwyższą pogardą patrzała na niego... Nawet żydzi potrącali go...

Terenia zapłakane oczy odwróciła teraz od niego... Jedna miednica mogła zaspokoić nielitościwego lichwiarza... On patrzał na jéj łzy i rozpacz i stał zimny, jak bryła kamienia...

Jakże brzydką wydała jéj się teraz ta twarz blada, bez życia, zużyta i zniszczona!... (Dok. nast.)

OCZEKIWANIE.

(z V. Hugo.)

Skacz, o! skacz na dąb wiewiórko!
Aż na szczyt co gwarzy z chmurką,
Wiotki, niby różczka situ....
Ej! bocianie! wieź kochanku!
Wynieś się na skrzydeł wianku,
Nad pałaców skroń z granitu,
Nad dzwonnice — do wież szczytu!

Wypłyń z gniazda orle płowy,
Nad posępne górskie głowy,
Kędy zima lśni bez końca!
I ty co z blednącą gwiazdką,
Nim świt strzeli — rzucasz gniazdo,
Jaskółeczko igrająca,
Wyleć na promyki słońca!

Tak!.... A teraz z rózg dębowych,
Z szczytu wieżyc marmurowych,
Z gór, z niebiosów tarczy szklanéj,
W dali, za mgły jasnéj chmurą, —
Czy widzicie drżące pióro
I rumaka w srebrze piany
I czy wraca ukochany?..

Wacław Pomian.

Instytut muzyczny w Warszawie.

Wiadomo, że do roku 1860 młodzież nasza, zamierzająca się kształcić w zawodzie muzycznym, na elementarnych zaledwie poprzestawać musiała wiadomościach, gdyż specyalna nauka, z powodu że znacznéj nieraz liczby nauczycieli wymaga, jako zbyt kosztowna, dla niewielu tylko osób dostępną była. Dlatego téż każden, komu fundusze wystarczały, udawał się w tym celu zagranicę, bo tam w zakładach muzycznych naukowych znalazł łatwo to, co u nas z trudem zaledwie osiągnąć można było. Od roku zaś 1860 każdy może znaleźć naukę w kraju, naukę wszechstronną, wszelkiemi możliwemi środkami ułatwioną, gdyż celem tego instytutu jest nietylko biegłych wirtuozów, zdolnych nauczycieli, dobrych artystów krajowi przygotować, ale co ważniejsza może, ukształconych organistów świątyniom naszym dostarczyć, by służba Boża godnie odprawianą być mogła, by pieśni, jakiemi od tylu wieków naród chwali Najwyższego, majestatyczną potęgą organu zacne i godnie podniesione, ogrzewały i rozniecały modlitwy pragnienie.

Powołanie organisty, nawet wiejskiego, nie jest rzeczą tak małéj wagi, jak się z pozoru niejednemu zdaje. Przecież nie same tylko wielkie miasta dostarczają sztukom ludzi zdolnych i od natury wyższemi talentami obdarzonych; na wsi znajdzie ich się może więcéj jeszcze; a skoro będzie ktoś czuwał nad wszelkiemi muzykalności objawami, gdy umiejętnie w pomoc im przyjść zdoła, nic się nie uroni, bo każda zdolność, każdy talent znajdzie przytułek i naukową w kształceniu się opiekę. Taki tedy organista, z natury powołania swego, jest



już pośrednikiem pomiędzy wiejską młodzieżą a instytutem. Rozliczne w przyszłości szkółki, jakie może powstaną w rozmaitych stronach kraju, z pomocą miejscowych proboszczów, będą głównym zarodem artyzmu. Lecz zbyteczną byłoby rzeczą przesądzać korzyści, jakie sztuka nasza muzyczna z założenia takingo instytutu w rozmaitych swoich gałęziach odnieść może i powinna; nie to jest teraz celem naszego pisma, raczéj chcieliśmy zapoznać czytelników z historyą gmachu w którym ten instytut się mieści.

Instytut muzyczny w Warszawie mieści się w gmachu rządowym przy ulicy Ordynackiéj i Tamce, pospolicie domem zdrowia, lub pałacem ordynackim nazywanym. Budowla ta ma także swoje dzieje zapisane w kronice Warszawy. Pierwiastkowo miał być w niéj zamek obronny, wzniesiony przez Janusza księcia ordynata Ostrogskiego na początku XVII stulecia, któréj to budowli ślad został dotąd w tarasie obwiedzionym murem fortecznym, ze strzelnicami zewnątrz od strony Tamki, co jest widoczném i na powyższym drzeworycie, a zdaje się być podstawą całego gmachu. Stanowi on teraz ściany piwnic obszernych, z pod pałacu niegdyś aż do ulicy Książęcéj ciągnących się, w których, podług podania, jeden pułk żołnierzy się mieścił, i gdzie, wedle bardzo niedawnéj legendy, miał być ów staw, z księżniczką zaklętą w kaczkę. Zamek ten wszelako nie był dokończony, gdy po śmierci założyciela przeszedł w ręce Teodora Denhoffa podkomorzego koronnego. Od niego nabył go w r. 1681 Jan Gniński podkanclerzy koronny, który mury pozostałe przerobił na dom mieszkalny, i odtąd nazywał się pałacem murowanym Gnińskich. Potém w spadku familijnym przeszedł na własność ordynatów Zamojskich; ci w roku 1725, utworzywszy przy nim osobną miejską jurydykę, pod nazwiskiém ordynackiéj lub Zamojskich, gmach jeszcze okazaléj przebudowali i z przepychem ozdobili, co dało powód ustalenia przy nim nazwiska *pałacu*

ordynackiego. Po dwudziestu latach przeszedł w posiadanie rodziny Czapskich, od tych w spadku do Mielżyńskich, a od nich w roku 1775 do Chodkiewiczów. We dwa lata potém, ostatni właściciele pałac swój przeznaczyli na umieszczenie w nim pensyi dla magnackiéj młodzieży, którą założył sławny w swoim czasie filozof-moralista Jan Nikuta, i utrzymywał ją z nieznanym dotąd przepychem i formami do r. 1794. Po zwinięciu tego naukowego zakładu, pałac stał pustkami lub był szpitalem wojskowym, aż nakoniec w roku 1820, na publicznéj licytacyi, kupił go Jan Gajewski, i podzieliwszy posesyą na trzy części, główną sprzedał w r. 1836 rządowi na instytut lekarski, dla zamożniéjszych chorych przeznaczony, ktory *domem Zdrowia* mianowany, nadał pałacowi drugie jego dotychczasowe nazwisko. Gdy rzeczony instytut nie długo się tu utrzymał, pałac, zostawszy własnością zakładów dobroczynnych, różnemi czasy mieścił to szpital choleryczny, to instytut moralnie zaniedbanych dzieci, lub służył na schronienie dla dotkniętych powodzią nieszczęśliwych nadwiślan. Wreszcie w r. 1854 sprzedany magistratowi warszawskiemu, zostawał pod rozporządzeniem komisyi kwaterniczéj, i dopiero w roku 1860 otrzymał obecne swoje przeznaczenie. Z położenia, obszerności i stanu budowli, nie można było stosowniejszego wybrać miejsca; silne są jego mury, gruntowne fundamenta, dobra to więc wróżba dla muzycznego zakładu. Bodajby losy jego były równie trwałe, jak ten gmach historyczny.



Gmach Parlamentu w Londynie.

O pojedynkach.

Pojedynki od niepamiętnych czasów, zwracały na siebie uwagę prawodawców, filozofów, publicystów i wszystkich ludzi oświeconych. Dzieje ich dają nam przykład uderzający istniejącego zawsze, a i dziś jeszcze nieusuniętego rozdwojenia między prawem a opinią, między przekonaniem a obyczajem, i to w jednéj z bardzo ważnych kwestyi moralności i bezpieczeństwa publicznego, w kwestyi, którą rozum dawno rozstrzygnął na korzyść prawa, lecz w której uczucie honoru staje po stronie zakorzenionego przesądu.

Obrażony wbrew głosowi rozumu i sumienia, wbrew porządkowi publicznemu, układa się o stoczenie walki śmiertelnéj, i rzucając swe życie na szalę losu, pierwszy piers swą na pocisk wroga odsłania. Nie jestże to faktem zadziwiającym, że pojedynek, którego początek sięga czasów, na pół rycerskich, na pół barbarzyńskich, ze zmianą tylko formy przetrwał aż do dnia dzisiejszego? Nie jestże to godnem uwagi, że w wieku naszym, w wieku analizy zimnéj i subtelnéj sumienie publiczne nie jest dość silne, ażeby tego rodzaju zabójcę, postawić w rzędzie zbrodniarzy? Nie jednokrotnie prawo, z siłą i powagą starało się stanąć po stronie rozumu i porządku publicznego, zawsze jednak usiłowania te były bezowocne, bo silniejszy nad prawo przesąd osłaniał zbrodnie podobne, opieką swoją. Najzawziętsi przeciwnicy pojedynku, w praktyce bardzo wyraźnie odróżniają go od zbrodni; żaden z nich nie ma skrupułu bywać i zasiąść przy jednym stole z człowiekiem, który się pojedynkował ze skutkiem bodajby najnieszczęśliwszym. Fakta tego rodzaju spotykamy codziennie, a po-

chodzą one z tego, że człowiek żyjący w społeczeństwie mimo swéj woli i wiedzy, odbiera zawsze wrażenia i ulega wpływowi myśli ogólnéj, że instynkt jakiś, bezświadomy siebie, mówi każdemu, iż pojedynek właściwie nie jest czém innem, jak rodzajem wojny prywatnéj. i to jeszcze w warunkach zupełnéj równości uzbrojenia, iż walczący stają częstokroć w obronie honoru rodziny, lub godności osobistéj. Jeżeli niekiedy poważne okoliczności wywołują pojedynek, to jakże często powody jego są błahemi! W Romeo i Julii Szekspira, za którego czasów pojedynki miały wielkie wzięcie, Mercutio tak odzywa się do Bonvolia: „Gdyby takich jak ty dwóch było, to byście się wzajem pozabijali. Z tym zacząłeś za to, że kaszlnął na ulicy i zbudził psa twego śpiącego na słońcu: a owego krawca czyż nie zaczepiłeś, że śmiał przywdziać nową kapotę, albo tamtego, że nowe trzewiki starą tasiemką zawiązał?"

„Pojedynek, mówi jeden z uczonych naszych prawników, może być przedmiotom żywego interesu nietylko dla mężczyzn. Ściśle z sobą są spojone godność osobista i cześć dla kobiet — te dwa uczucia, które jako dwa szlachetne instynkty, przynieśli ze sobą synowie dzikich i mroźnych puszcz Germanii, kiedy na ruinach świata starożytnego mieli odbudować świat nowy; — te dwa uczucia które już chrześcijaństwo pierwéj do wysokości dwóch cnót podniosło. Utrzymują, że honor jest w miłości tytułem do otrzymania pierwszeństwa przed swemi współzawodnikami. Dla słabości niewieściéj męztwo niewymowny ma urok. Godnem też jest uwagi, że pojedynku nienapotykamy u ludów, gdzie wielożeństwo jest we zwyczaju, gdzie kobieta jest w stanie poniżenia."

Pierwsze zarody pojedynku powstały u ludów germańskich. Nie były one tak jak późniéj i dziś walką honorową, ale posługiwano się nimi, jako instytucyą sądową, zastępującą dowód, posługującą do wykazania komu należy się prawo, będące przedmiotem sporu, lub do przekonania kogo o zarzuconéj mu zbrodni. W tem znaczeniu pojedynek nie był niczem innem, jak zwykłym s ą d e m b o ż y m czyli o r d a l i ą. Między o r d a l i ą i w y r o c z n i ą bardzo bliski zachodzi stósunek. Oboje należą do epoki, kiedy człowiek będąc w ciągłym związku z bóstwem, za pośrednictwem zjawisk natury lub losu rozstrzygał kwestye wynikające z życia, lub otaczających stosunków. Ordalia i wyrocznie polegały na ślepéj wierze, że bóstwo zedrze oponę przysłaniającą wzrok ludzki i w całéj nagości prawdę okaże. Jeżeli bowiem bóstwo zdolne jest rozjaśnić ciemną przyszłość, nie miałożby ujrzeć postaci lub czynów spełnionych w przeszłości? Ztąd powstały różnego rodzaju sądy, między któremi najpowszechniéj są znane próby ognia i wody. Te żywioły nieskażone, osłaniają potężne bóstwa, które wskażą zbrodniarza, nie zniosą jego obecności, odepchną go. Ztąd, w sądzie bożym przez ogień, żelazo rozpalone, paląc dłoń winowajcy, zmusza go, aby się usunął; a w próbie wody, winien jest ten, którego ona nie chce przyjąć. Gdy przyniosą trupa przed sędziów, rany jego poczną krwawić i drzeć, kolor jego twarzy się zmieni. Takiemi to środkami starożytni dochodzili winy zbrodniarzy.

Z chrześcijaństwem tego rodzaju ordalia jeszcze się zwiększyły; n. p. z chrześciaństwem przybyły tak zwane p r ó b y k r z y ż a i o s t a t n i é j w i e c z e r z y. W téj to epoce powstały pojedynki; wpływ bowiem religijny kazał mniemać że Bóg, będący prawdą i sprawiedliwością, nawet słabszemu, jeżeli walczy za prawdę, doda siły do zwycięstwa. Jeżeli kto nie mógł dla wieku lub kalectwa stanąć do walki, mógł być zastąpiony przez opiekuna swego, lub najemnika. W średnich już wiekach, z upowszechnieniem się pojedynków, nawet kobietom, jeżeli nie miały pieniędzy dla najęcia zastępcy, dozwolono z nich korzystać. — Dla zrównoważenia sił nie równych dwóch płci, dziwne sposoby podawano. Jeden z uczonych według rękopismu współczesnego następujące przepisy pojedynku podobnego nam przekazuje. „Mężczyzna staje w okrągłym, dosyć szerokim a głębokim po pas dole; w prawéj ręce trzyma pałkę, którą uderza kobietę. Nie może ani wyjść z dołu, ani wolną ręką o brzeg jego się opierać, pod utratą zwycięztwa. Kobieta trzyma w ręku welon i uwiązanym na końcu kilkofuntowym kamieniem uderza mężczyznę. Jeżeli kobieta zdoła zajść i z tyłu uchwycić mężczyznę za głowę, aby go obalić gdy zaś pałka uplącze się w welon, kobieta stara się wydrzeć pałkę mężczyznie. Mężczyzna zwycięży gdy kobietę w dół wciągnie."

Tak jak już wyżéj powiedzieliśmy, pojedynek początkowo był instytucyą sądową, ujęty w formę prawem przepisaną. Rozstrzygano nim nie tylko sprawy prywatne, ale nawet prawne. I tak n. p. za cesarza Ottona (941) w pojedynku zdecydowano kwestyę „czy synowcowie mogą łącznie ze stryjami swemi brać spadek po dziadzie prawem zastępstwa za swych ojców zmarłych przed zejściem dziada. Kiedy Alfons, król hiszpański chciał w miejsce praw zwyczajowych wprowadzić prawo rzymskie, pojedynkiem na korzyść prawa rzymskiego rozstrzygnął. Nawet kwestye religijne, jak w Hiszpanii kwestya liturgii wprowadzonéj przez św. Izydora, w tenże sposób niekiedy decydowały się.

Do jak wysokiéj powagi pojedynki podniesione wówczas były, to przekonywa nas to, że nawet je wykonywano przed sądami duchownemi. Dante — którego geniusz w wielu kierunkach przewyższył wiek swój, nie mógł się jednak oprzeć temu przesądowi. Mówi on„ że jeżeli formy pojedynku zostały zachowane, czyliż niezebraliśmy się w dziele sprawiedliwości i w imię boże?... A jeśli tak jest, czyż Bóg nie staje pośród walczących, gdy sam to nam w ewangelii przyobiecał? Jeżeli zaś Bóg przewodniczy walce możnaż uledz gdy sprawa nasza jest sprawiedliwą?...

Pierwsze ślady pojedynku, w téj formie w jakiéj dziś znamy, zrodziły się we Francyi. Równocześnie z niemi powstały rycerskie w szrankach zowody, turnieje i popisywanie się ze zręcznością w użyciu oręża. Wszystko cośmy wyliczyli dodawało nie mało żarliwego popędu do pojedynków, do zwad, do zaczepek, do bicia się, do honorowych zabójstw, do stawiania honoru na kartę hazardu.

Przy tych okolicznościach. pojedynek pierwotny, zatracić musiał swój dawny charakter, i tak widzimy już we Francyi w wieku 15, że nie jest on instytucyą sądową, gdyż tylko za wyłącznem przyzwoleniem królewskiém mógł być odbywany. Znacznie wcześniejszą dążność okazał w tym kierunku kościół; sięga ona bowiem 9go stulecia. Sobór laterenéński za Inocentego III (r. 1215) potępił wszelkie ordalia. Od połowy 16go wieku prawodawstwo francuzkie starało się surowemi karami, gdyż nawet karą śmierci zapobiedz, coraz więcéj mnożącym się pojedynkom. Pomimo zakazu, w ciągu kilkunastu lat za panowania Henryka IV, było 7000 ułaskawień od kar za pojedynki; a wtymże czasie do 8000 w walkach honorowych poległo. Za Ludwika XIV udało się nieco srogością ukrócić pojedynki. Między innemi rozporządzeniami poruczył on trybunałowi marszałków sąd honorowy w celu przytłumienia zajść w samym ich początku. W innych krajach od połowy 17 wieku, uciekano się także do surowych kar. Kościół potępił pojedynki na Soborze Trydenckim nazywając je „haniebnym zwyczajem, wprowadzonym za sprawą djabła dla zguby duszy po krwawéj śmierci ciała."

W wieku 18 już nie tylko prawodawstwo, ale i publicyści i filozofowie coraz silniéj przeciw temu zwyczajowi występować zaczęli. Między innemi J. J. Rousseau tak mówi: „Strzeżcie się łączyć święte imię honoru z przesądem dzikim, który wszystkie cnoty na ostrzu szpady utrzymuje, i jeżeli zdolny jest co stworzyć, to chyba tylko śmiałych morderców. Wejdźcie

więc w samych siebie i rozważcie, czy wolno wam jest nastawać na życie człowieka i narażać własne dla zadosyćuczynienia barbarzyńskiéj i niebezpiecznéj fantazyi — fantazyi nie mającéj żadnéj rozumowéj podstawy za sobą: rozwiążcie, czy wspomnienie smutne krwi przelanéj w podobnéj okoliczności, może kiedy przestać nawoływania o zemstę na tym, który ją przelał? Czy znacie zbrodnię większą nad zabójstwo człowieka?... Jeżeli kochasz cnotę naucz się ją spełniać w sposób sobie, nie ludziom właściwy.

. Jakież mogą ztąd być skutki nieprzyjazne? Szmer ludzi lekkich, złych, którzy szukają zabawy w nieszczęściu innych... ludzi pragnących posiadania wciąż nowinek, któreby mogli rozpowiadać innym. Oto masz ważny powód do wzajemnego zarzynania się... Fanfarony, nicponie chcą zwykle, za cenę nie wiem jaką, uchodzić za odważnych..."

W Polsce początkowo próby boże i pojedynki nie były znane Przekazują nam wprawdzie powieści słowiańskie o spotkaniach samowtór, o wyzywaniu się wojowników do zapasów, o bójkach po karczmach, o zwadach przy uroczystościach, biesiadach między bracią chorągiewną, ale nie były to próby boże, ani pojedynki w ścisłém znaczeniu tego słowa Tamte są wypadkami wojny lub rozrywki; te drugie krwawą w pokoju rozprawą o urojone rycerstwa zaszczyty, lub są czynami z przesądu i zabobonu wynikłemi.

Pojedynki i sądy boże weszły do Polski wraz z wpływem obczyzny. „W początkach formowania się Państwa polskiego", mówi Lelewel, Niemcy więcéj niż kiedy zasiedlać się przybywali, a nawet byli wzywani do miast i na role. — Z napływem Niemców i prawodawstwo ich na polskie oddziaływało, tak dalece, że wkrótce potworny obyczaj pojedynku wydawał się dla panów dawnym i przyczynił się potężnie do szkarady, jaką dzieje narodowe w końcu XIII i początku XIV wieku pokryte zostały.

Mimo rozpowszechniającego się obyczaju, prawodawstwo narodowe przez długi czas o pojedynkach i próbie bożéj milczy; późniéj zaś nieco nie występuje wprawdzie przeciw nim bezpośrednio, ale stanowi przepisy przeciw oszczercom żeby cześć obywatelska nie była puszczoną na los bójki lub zabobonnéj próby.

Jako dowód téj instytucyi, Lelewel podaje następujący przykład:

„Pomówił 1389 świątobliwego życia królowę Jadwigę podkomorzy krakowski Gniewosz z Dalewicz. W prawnictwie u obyczajeńszych królestw, w razie takim w całéj okazałości i uroczystości występowały próby boże i pojedynki (zastępcze) w dowód niewinności. W Polsce szło inaczéj. Pozwany Gniewosz, stanął przed sądem w Wiślicy. Jaśko z Tęczyna, kasztelan wojnicki zaprzysiągł ze strony królowéj niewinności. Zaczym znalazło się dwunastu kawalerów do pojedynku ochoczych. Téj usługi sąd nie potrzebował, honoru królowéj na dwanaście pojedynków nie narażał: a nużby Gniewosz po kolei z dwunastu, każdego powalił Sąd zapytał Gniewosza co ma na poparcie obelgi? Milczał, wyznał nareszcie, że mu się uroiło: przebaczenia wzywał. Skazany na odszczekanie, w izbie sądowéj niezwłocznie pod ławę wlazszy, zawołał: zełgałem jako pies i po trzykroć szczeknięcie psa udał."

Prawa niemieckie, czyli tak zwane magdeburskie, zachowywane były po miastach; tam też tylko ślady wówczas pojedynkow i sądów bożych znaleść można. Prawo ziemskie przeciwne im było, a w r. 1505 posłowie ograniczając obce prawodawstwo, stanowczo je znieśli. Zdarzały się wprawdzie przykłady przyzwoleń króla na podobne bezprawia, ale przykłady te są nader nie liczne Raz jeden dozwolił Zygmunt stary niejakiemu Brzostowskiemu wyzwanie Stanisława Pszonki, ale ten ostatni nie stanął.

Spotkania wymagały zobopulnego przyzwolenia a jeżeli która ze stron nie stanęła, nie pociągało to za sobą pozbawienia czci obywatelskiéj. Pszonka nieprzyjął wyzwania i powierzył się zwykłéj drodze sądowéj.

Pewien dostojny Włoch, mówi Lelewel, podróżując po Polsce przyjęty był gościnnie przez zamożnego obywatela Z...... Przy hulance i wesołem usposobieniu, prędko spoufalono się z cudzoziemcem. W takiem nastroju po hucznéj biesiadzie umazano Włocha miodem i wprowadzono na dziedziniec między wytresowane niedźwiadki. Nielitościwie lizany Włoch stał się przedmiotem pustego smiechu. Oburzony tym czynem, chciał natychmiast dwór opuścić, ale gościnność gospodarzy zatrzymała go jeszcze. Z pojazdu jego zdjęto koła. Nakoniec Włoch wyrwawszy się z serdecznych rąk gospodarza, wyzwał obywatela Z...... na pojedynek, a dowodząc dostojności swego rodu równającego się wyzwanemu, powołał na sekundanta panującego księcia brunświckiego, który się téj posługi podjął. Nic przecie nie zdołało obywatela Z...... skłonić do przyjęcia wyzwania. Włochowi nie pozostawało, jak przygodę swą drukiem ogłosić. Z...... nie sądził żeby ta Włochowi krzywdę wyrządzić miała, nie przypuszczał też aby nieprzyjęcie jego czci ujmę czyniło.

Moglibyśmy wiele jeszcze innych przykładów przytoczyć z których jasnem jest, że można było wyzwanie mieć za nic.

Nadmienić tu wypada, że w ówczas po wyzwaniu następowało niezwłoczne spotkanie.

Mikołaj Radziwiłł dowodził Zygmuntowi Augustowi, że większa część zabójstw usprawiedliwia się pojedynkami i zarazem radzi przedsięwziąść przeciw nim środki odpowiednie

Podniosły się też głosy publicystów, jak Frycza, Modzewskiego, Goślickiego, Paprockiego i innych przeciw tym zbyt zakorzeniającym się nadużyciom. „Zemstą to zwiecie" mówi Modrzewski, a w niéj dowód wielkiego męztwa i wielkiego serca upatrujecie, jakby zemsta cnotą była, a czemże u was wzgarda krzywdy?

Powodowski gromiąc w swym kazaniu pojedynkujących się, hetmana Mieleckiego słowa przytacza; że kto najwięcéj krzesze szabelką na dworze, ten nie naciera na nieprzyjaciela.

W wieku 16 pojedynki u nas tak się szerzyć zaczęły, że urosły nawet wieści jakoby mieli wyzywać, Stefan Batory Iwana Groźnego, Szujski Zamojskiego, a Zamojski Karola Sudermana. (Dok. nast.)

ROZMAITOŚCI.

25-letnia rocznica panowania Piusa IX.

W przyszłym miesiącu, t. j. dnia 17 czerwca r. b., papież Pius IX rozpoczyna 25 rok panowania na stolicy apostolskiéj.

Tym sposobem Pius IX zbliża się do lat piotrowych, t. j. do tych, których żaden z papieżów od tysiąca ośmiuset lat nie przekroczył. Ztąd też utrzymywało się ciągle w téj sile owe odwieczne proroctwo „Non videbis Annos Petri" to jest: nie ujrzysz lat piotrowych, jakie zwykle stosowano do każdego z zasiadających na Stolicy Apostolskiéj.

Święty Piotr bowiem zasiadał na niéj lat 25 miesięcy dwa i dni 7; zatem 24 sierpnia 1871 roku panujący Papież przeszedłszy lata apostoła świętego, byłby pierwszym od tylu wieków, który tego błogosławieństwa niebios doczekał.

Nic przeto dziwnego, że obecnie Ojciec św. z powodu zbliżającego się owego terminu i istniejącego proroctwa, okazuje pewien niepokój.

Niepokój ten jest widoczny tak dalece, iż nawet w Wielką sobotę, w chwili udzielania audyencyi kilkutysięcom osób, Pius

IX przemawiając do nich, oparł swoją mowę na temacie słów Zbawiciela, który w chwili konania na krzyżu wyrzekł: „Consumatum est“ pytając zarazem obecnych, czyż i dla niego nie spełniło się już wszystko na świecie, i czy nie powinien do siebie zastosować owych słów Chrystusa?

Jeżeli zaś Pius IX przeciągnie panowanie swoje do 24 sierpnia 1871 r., czyli mówiąc jaśniéj przekroczy granicę, jakiéj żadna jeszcze śmiertelna stopa niedotknęła, wtedy ma się odbyć w Rzymie jedna z największych uroczystości, jakiéj jeszcze ta stolica nie widziała.

Między innemi wydobytym zostanie, przechowujący się dotąd w bazylice, jako relikwie, tron św. Piotra, na którym Pius IX zasiądzie, pomimo iż dotąd żaden z papieżów, nie ośmnielił się tego uczynić.

Tronem tym jest tak zwane kurulne krzesło, całe ze słoniowéj kości, a które podarowane zostało, jak niesie tradycya, Piotrowi z Galilei, przez jednego z ówczesnych senatorów rzymskich, nazwiskiem Prudens.

Krzesło to jest niskie, wysadzane w białe i czarne kwadraty na kształt szachownicy, przyozdobione znakami zodyaku i różnemi postaciami bóstw z czasów pogańskich.

Nie ma wątpliwości, że oprócz Soboru i tylu innych szczegółów, nie mniéj także zajmuje i to nie tylko Rzym, ale cały świat chrześciański, kwestya 25letniego panowania Piusa IX. W każdym bowiem razie doczekanie przez Ojca św. dnia 24 sierpnia 1871 r. będzie jedynym w tym rodzaju faktem, na który ośmnaście wyczekiwało wieków. K. W.

(Szeląg pod Poznaniem.) Janecius doktór, burmistrz poznański miał folwark za miastem w stronie „Akademii“, wielce pożyteczny, a zwano go Szeląg. Zaczym żart uczynili studenci, że tak dobrze umieją strzelać że i w Szeląg z działa trafią. On zaś sam mawiał że „w Poznaniu wolę mieć szeląg, niż w Krakowie tysiąc złotych.“ (Starożytności polskie. Amb. Grabowski).

(W sprawie pisowni polskiéj.) Słusznie mówi odezwa Towarz. Przy. Nau. wsprawie pisowni naszéj, że ta zdniem każdym w coraz większy chaos wpada. Oto nowy przykład tego spotykamy na szyldzie pana Bryhla, na rogu Wielkich Garbar i ulicy Wodnéj. Kopia dosłowna:

„Wiszynk ot rozmaitych wótki, piwo araku i sprit G. Bryhla.“

Czy autor szyldu, twórca nowéj ortografii, na przyszłym zjeździe lingwistów w Poznaniu, obstawać przy pisowni swojéj będzie — niewiemy.

Kronika nowości piśmienniczych.

Nauka czytania i pisania. Wypracowana z polecenia Towarzystwa pedagogicznego w Poznaniu. (Przez D. Rakowicza.) *Wydanie setne*. Poznań, w komisie księgarni J. J. Heinego. 1870.

Das Lied von unserem Lande, von Wincenty Pol. Aus dem polnischen übersetzt von Dr. Wojciech Kętrzyński. Posen. Verlag der J. K. Żupański'schen Buchhandlung. 1870.

Jeżeli powodzenie kupiectwa naszego w ogóle, wzbudza najżywszy interes u ludzi myślących, co wiedzą, iż rozwój kupiectwa i przemysłu jest głównym czynnikiem powodzenia narodowego, to wzrost i rozwój księgarstwa naszego w dwójnasób staje się zajmującym z powodu, że jego powodzenie zostaje w najściślejszym związku ze stanem ogólnéj oświaty. Z kupieckich ksiąg księgarza dowiedzieć się można, nie tylko stanu interesów majątkowych firmy, ale oraz stwierdzić z nich, czy stan oświaty w społeczeństwie wzrasta czy upada, w miarę czy i jakie książki się rozchodzą, lub nie znajdują odbytu. A niekoniecznie nawet zaglądać do ksiąg, dość wejść do księgarni, żeby pochwycić nieraz smutny lub pocieszający rys stanu oświaty. Gdy człowiek żyjący z pracy rąk, utrzymujący z niéj rodzinę, wyrobnik prosty, wejdzie do księgarni i kupi za talara książek, jest to dowodem, że klasy niższe zaczynają poczuwać potrzeby wiedzy i myślenia; gdy butna kreatura Fortuny wejdzie do księgarni a wymawia pryncypałowi jéj, że go naseła książkami, choć tylko „do przeglądu“, jest to dowodem, że i złocony orzech próchno zawierać może w łupinie. Kto ma baczne oko, z podobnych rysów mógłby zebrać w w każdéj księgarni, doskonały wizerunek stanu oświaty różnych sfer społeczeństwa i ludzi. Gdy się jest przekonanym o użyteczności książki jakowéj, z ilości sprzedanych egzemplarzy, z ilości wydań wniosek najprostszy, czy społeczeństwo użyteczność tę uznaje a potrzebę jéj czuje.

Nie każdemu radziłbym jednak robić próbę taką. Kto ma skłonność do pessynizmu, gotów dostać czarnéj melancholii, dowiedziawszy się, że prawie ogół ksiąg polskich, z małemi tylko wyjątkami, matuzalowe lata żyje żywotem pierwszego, jedynego wydania. Wyjątki stanowią w przeważnéj większości tylko książki do nabożeństwa. Jednak na czele wszystkich wyjątków, stanął Elementarz p. Daniela Rakowicza.

Elementarz?... Que ce qu'est cela? czy i to książka, godna jakiéj takiéj półki? Ani welinu, ani złoconéj okładki! Fi donc! ôtez cela!

.....Nie mogę! .. bo nie mogę uznać zasady, że tylko to jest, co jest w salonie, i tylko to ma prawo być, co ma wstęp do salonu. Ho, ho... państwo łaskawi, elementarz choć skromny z pstrą okładką, więcéj wart dla społeczeństwa, jak cała półka najprzedniejszych romansów francuzkich, po których zlepionem złoceniu brzeżném, dowiódłbym wam nawet, że od lat kilku stoją w szafie nie czytane.

Spojrzyjcie: *Wydanie setne*, rozchodu ogólnego *300,000*! Słusznie powiada syn szanownego autora w przedmowie do dwakroć złotego wydania: „Mała to i niepozorna w porównaniu do wielkich foliantów książeczka, a jednak jak pożyteczna, jak bogata w owoce! W przeciągu lat 22 trzysta tysięcy dzieci, nauczyło się na niéj czytać i otworzyło sobie przez nią wrota wiedzy!“

Komu na widok elementarza, staje tylko na oczy kupa brudnych dziatek, wiotka trzcinka bakałarza, tragiczny los nieuków, ten nie potrafi oczywiście ocenić ważności jego. Zapomniał o nim, jak o owéj piersi matki, z któréj się zaczerpnęło pierwsze siły na jawie żywota fizycznego. Nie masz trafniejszego porównania! Czém pierś matki lub niańki dla przyszłości organizmu cielesnego, tem elementarz dla umysłowéj części istoty ludzkiéj Prostak czy mędrzec od niego rozpoczyna naukę i wiedzę, a niestety ogromna większość narodu, naszego zwłaszcza, na nim też kończy szkólne wykształcenie. Jemu więc zawdzięczamy, że masa ludu posiada choć odrobinę inteligencyi. Narody cywilizowane dziś najszczegółowszemi badaniami współzawodniczą, żeby wykazać jak największą liczbę ludzi, co się oswoili z elementarzem, a nikomu na myśl nie przyszło jeszcze i nie przyjdzie pewno, badać, ile procent ludności zna i czytało tych lub owych klasyków i koryfeuszów literatury. Więc, szanowni czytelnicy, jeśli już przekładacie w estymie waszéj jakąkolwiek książkę nad elementarz, choć ten oto, setnego wydania, przynajmniéj postawcie na półce waszych laureatów.

Na drugie danie ofiaruję dziś także nie wielką książeczkę. Nie dla tych z nas, co nie znają jeszcze Pieśni o Ziemi naszéj; bo jeśli jéj nie czytali w oryginale, to pewno i w niemieckim przekładzie nie przeczytają, — ale dla tych, co nieraz bywają w ambarasie, gdy ich życzliwy Niemiec zapyta, w jaki sposób przystępny mógłby się poznajomić z arcydziełami literatury polskiéj. Sposobów na to niestety mało. Niemcowi trudno się douczyć do tyla polskiego języka, żeby biegle i z rozumieniem zupełném mógł czytać utwory muzy polskiéj, zwłaszcza że w szkołach prawie wcale się go nie uczą nawet ci Niemcy, co wskazani są na ciągłe i bezpośrednie stykanie się z polskim żywiołem. Na ochotnika brak ochoty a nareszcie względy naprężenia politycznego, raczéj odstręczają od téj nauki, zamiast co miałyby zachęcać. Traci na tém oświata w ogóle, że produkta ducha i geniusza polskiego nie wchodzą do składu podstaw uobyczajenia i kultury, ale przedewszystkiém tracimy my sami, że nie mamy udziału w tworzeniu podstaw i warunków oświaty kosmopolitycznéj. Każdy człowiek wykształcony, jeśli nie z gruntu zna, to przynajmniéj zakosztował przedniejszych owoców literatury wszystkich narodów ucywilizowanych. Nas tylko albo znać nie chcą albo nie znają, bo nie mają sposobności poznać.

Dla tego dobrze się zasługuje narodowi swemu, ktokolwiek podejmuje się pracy popularyzowania utworów ducha polskiego — u postronnychnarodów. Pan Kętrzyński zasługę taką położył tłómaczeniem pomnikowego utworu naszego wieszcza domowego; należy mu się za to najzupełniejsze uznanie. Pamiętajmy wiadomość o jego pracy szerzyć w kołach niemieckich, dostępnych wpływom naszym.

Szanowny wydawca tłómaczenia pana K., jak słyszę, wkrótce wyda drugie tłómaczenie niemieckie Pieśni o ziemi naszéj, innego pióra. Wydanie to będzie tém ponętniejsze, że wyjdzie z illustracyami.

Szarada.

Gdy na wiosnę słońce działa,
Leci pierwsza rzeką strugą,
Tak niekiedy jakby strzała.
Krawcy, szwaczki robią drugą
Ptaki wlesie — pierwsze, trzecie.
Całość łatwo odgadniecie:
Mąż to wielki — Polak prawy
Pisarz bardzo wielkiéj sławy.

(Rozwiązanie szarady w numerze 19: *Lelewel*.

Korespondencya Redakcyi.

Panu J. M. w Berlinie: Upraszamy o jak najspieszniejsze nadesłanie reszty i tytułu. — Panu Wacławowi P. w Berlinie: Za pamięć dziękujemy. Na urzeczywistnienie przyrzeczenia niecierpliwie czekamy. Panu K. w X.: Jakkolwiek panna Gabryela nie jest nam znaną, chętnie dzielimy z panem uwielbienie dla niéj; co zaś do poezyi wysławiającéj jéj cnoty i wdzięki, drukowaną być nie może. — Panu L. W. pod Brodami: Krytyka pańska utworu własnego jest bardzo pobłażliwa.